

# GENDER

DLA  
ŚREDNIO ZAAWANSOWANYCH



INGA IWASIÓW



INGA IWASIÓW

**GENDER**

**DLA ŚREDNIO ZAAWANSOWANYCH**

**Wykłady szczecińskie**



WARSZAWA

## Wstęp: O pisaniu i wykładzie

Zaczynamy zajęcia – zaczynam pisanie książki. Przez kilkanaście lat pracy na uniwersytecie wygłosiłam bardzo wiele wykładów i miniwykładów, czyli wypełniaczy do ćwiczeń, na które studenci nie byli przygotowani lub nie mieli ochoty na dialog. Podczas tych wystąpień (planowanych i nie) dawałam się często ponieść fantazji, budowałam skomplikowane teorie wszystkiego i interpretacje pojedynczego tekstu. Zawsze miałam wrażenie, że po wygłoszeniu bezpowrotnie je tracę. Niektórych nie żałuję, lecz były i takie, nigdy niezapisane, szcążtkowo podjęte tematy, które wydają mi się teraz zakopanymi w niewiadomym miejscu skarbami. Wiele z nich dotyczyło literatury pozytywizmu, inne komparatystyki. Być może najlepsze jest to, co powiedziane (nie podejmuję tu debaty na temat prymatu mowy nad pismem lub odwrotnie – rozpatruję pragmatykę komunikacyjną), bo mówienie do studentów mobilizuje, pozwala grać, czasem szarżować. Niekiedy żal, że nie da się odtworzyć tych zbiegów okoliczności, słów, konceptów, ripost. Monografie tematów, skrypty przygotowywane do konkretnego tematu, na konkretny kurs przedmiotu – nie zachowują śladów interakcji zachodzącej w dydaktyce. Jeśli jesteś nauczycielem kochającym swój zawód albo chociaż siebie w wymodelowanej nim roli, audytorium dodaje ci siły i inwencji.

Cechą gatunkową wykładu jest wielostylowość, polifonia (trudna w piśmie do odtworzenia). Miałam nadzieję, projektując ten cykl spotkań i zarazem książkę, przenieść tę cechę w obie strony – na mówienie i pisanie. Zmuszona byłam, co oczywiste, czynić ustępstwa na rzecz obu modeli odbioru, obu mediów: mówiąc na rzecz pisma (czytelników), pisząc na rzecz mowy (słuchaczy).

Jeśli zdecydowałam się zachować ową wielostylowość (przede wszystkim melanz akademickiego wprowadzenia, krytycznego dopowiedzenia, anegdota, felietonu), to kierował mną – poza ekonomią nakazującą zachowanie tego, co kosztowało sporo wysiłku i wydawało mi się lepsze od tekstów wykoncypowanych na potrzeby spotkań naukowych, periodyków, konferencji – namysł nad dydaktyką uniwersytecką dzisiaj. Odwołam się tu do tekstu Krzysztofa Kłosińskiego i Ryszarda Nycza *Polonistyka w przebudowie. Projekt programu Zjazdu Polonistów*. Autorzy piszą między innymi: *Perspektywa komparatystyki – zarówno międzyepokowej, jak międzykulturowej, międzydyscyplinowej, itd., stanowi w dotychczasowym – panhistorycznym – porządku zasadniczy wyłom*<sup>1</sup> – wskazując konieczność takiego przeorganizowania polonistyki, by owo „między” stało się priorytetem. Czy nie musimy „przeorganizować” humanistyki w ogóle? Czy da się bronić podziałów, wąskich specjalizacji, oderwania od rzeczywistości?

Interdyscyplinarność, wielodyskursywność, zatarcie granicy między obiegami – towarzysząca tym „przekroczeniom” tradycyjnych wyznaczników, ram metodologicznych dyscypliny świadomość nowej antropologii literaturoznawczej – jest celem moich wykładów. Przeprofilowanie historii literatury tak, by jasny stał się jej konstruktywistyczny, historyczny wymiar; zwrócenie uwagi na retoryczność teorii literaturoznawczych; poszukiwanie sojuszników w naukach społecznych i praktyce dyskursów, nowa, pluralistyczna i otwarta etyka – to zadania, jakich chętnie podejmuje się ponowo-

---

<sup>1</sup> K. Kłosiński, R. Nycz, *Polonistyka w przebudowie. Projekt programu Zjazdu Polonistów*, 2003 (maszynopis).

czesny badacz<sup>2</sup>. Są to także zadania, które wyznacza sobie teoria genderowa, szczególnie podatna na „mówienie o wszystkim naraz”. Z tej potrzeby pozagabinetowej, opisującej jak największy obszar aktywności, trzeba zdawać sobie sprawę. Nie ukrywać jej, lecz czynić przedmiotem autorefleksji. Tylko wówczas uniknie się dwu skrajnych niebezpieczeństw: albo izolacji od świata społecznego i marginalizującego dyskursu, albo powierzchownego „wszystkoizmu”.

Wykład genderowy wzmacnia jedną jeszcze cechę rozpoznawalną jako składnik ponowoczesnego myślenia. Teoretycy literatury i kultury, filozofowie zwracają uwagę na znaczenie wspólnot interpretacyjnych, swoistych „grup interesów” skupionych wokół pewnych klas, szkół metodologicznych, ośrodków badawczych, przypadkowych koalicji. To one – wspólnoty – generują interpretacje tekstu i świata. Mniej nas dziś interesuje uniwersalny „sens zdeponowany” w faktach kultury, a przynajmniej ta porcja sensu, którą przypisać można wyłącznie natchnieniu i intencjom artysty. Z pytań „co to jest” i „czemu/komu służy” – wybieramy to drugie, nie tracąc pierwszego z oczu. Zagadnienie „jak to jest zrobione” stanowi zaledwie formalny obowiązek interpretatora, poszukującego wiedzy o człowieku w jego wytworach. Patrzymy na te wytwory z wielu miejsc jednocześnie i niekoniecznie wybieramy w końcu jakieś jedno. Jesteśmy multicytelnikami w multipleksach multitekstów.

Genderysty stanowią z pewnością wspólnotę interpretacyjną o jasno wytyczonych celach. Są dowodem wprost na prawdziwość teorii Haydena White’a, Richarda Rorty’ego, Stanleya Fisha. Mając określone cele, mówiąc między sobą swoim językiem – szukają w tekstach kultury dowodów istnienia „oboazu przeciwnego”, metod kamuflowania jego celów oraz śladów oporu. Dokonują wielopiętrowych analiz dyskursów, które nie należą do zestawu ich

---

<sup>2</sup> Takie myślenie zdaje się dziś dominować. Por. np.: S. Fish, *Interpretacja, retoryka, polityka*, przeł. z ang. K. Abriszewski, A. Derra-Włochowicz i in., red. A. Szahaj, Kraków 2002.

priorytetów grupowych, ale i – choć rzadziej i nie bez oporów – poddają rozbiórce własne założenia i praktyki komunikacyjne.

Pojęcie „wspólnoty interpretacyjnej” genderystów, konfrontowane ze stylami dyskursywnymi, podlega erozji, albowiem często okazuje się, że nie ma identycznych celów wszystkich naraz feminizmów/osób/grup, a co za tym idzie – tożsamy interpretacji. Mimo to – a może właśnie dlatego – wykład staje się okazją do sondażowego ustanowienia społeczności skłonnej do skorzystania z tego samego języka; zainteresowanej zrozumieniem tekstów/światów na określonych zasadach, uczciwie wyłożonych, niekamulowanych etykietami „uniwersalizmu”; elastycznych, choć nie bez końca.

Wydaje się, że uniwersytecki wykład był zawsze wielogatunkowy. Weźmy jego archetyp, Platońską *Uczlę*. Utrwalony w podręczniku, tracił tę cechę, ponieważ opierał się na kategoriach wybojach języka metodologicznego. Popularność i niepowtarzalna wartość wykładów Mistrzów polegała zawsze na tym, iż „mówili między tekstami”, w tym – między znakami własnego tekstu. Jeśli zmierzamy do tego, by dać dziś studentom i wszystkim, którzy chcą nas słuchać, od nas się uczyć, takie literaturoznawstwo, które zbieżne będzie z ich doświadczaniem świata oraz ze zmianami, jakie w nim zachodzą – będzie to literaturoznawstwo poszukujące, przekraczające granice dotąd uważane za właściwe. Będzie to nauka utrzymana w poetyce wykładu, a nie w poetyce podręcznika. Dlatego podjęłam ryzyko zapisania tego, co mogłabym mówić (co mówiłam), a więc zachowania dygresji i poszerzenia pola obserwacji o wszystkie strefy, które podlegają „amputacji” w tradycyjnej książce naukowej, choć istnieją w tradycyjnej mowie uniwersyteckiej.

To jeden z impulsów, a właściwie cała grupa inspiracji teoretycznych, metodologicznych, pragmatycznych do pisania tej książki. Drugi impuls sięga biografii, czasów, gdy sama byłam studentką. Miałam wówczas w grupie koleżankę, z którą pisywałyśmy pierwsze recenzje jako „krytyczne dwugłasy” (dwuosobowa wspólnota?) zamieszczane w lokalnej prasie. Nie wiedziałyśmy wówczas wielu

rzeczy o tej prasie, jej uwikłaniach po niedawno odwołanym stanie wojennym. Za nic miałyśmy, naiwne, małą, regionalną politykę, nie wiedząc, że naprawdę jest ona pogłosem tej nieco większej, centralnej i że mówimy w jej polu. Trochę się przyjaźniłyśmy, trochę z sobą rywalizowałyśmy. Myślałyśmy, że napiszemy wspólnie podręcznik teorii literatury „dla ludzi”, z przykładami analiz tekstów obchodzących choć trochę nasze pokolenie. Byłby to koszmarny podręcznik, bo interesowała nas wówczas proza rewolucji artystycznej, a więc coś, co nie interesowało prawie nikogo spoza wąskiego grona prozaików i krytyków. Do dziś zresztą nie ma wyczerpującej temat monografii pisarstwa i krytyki „spod znaku Henryka Berezzy”, jak się zwykło mówić, a nie podejmując wysiłku jej zrozumienia, zgadzamy się na istnienie luki w historii literatury najnowszej. Prawdopodobnie nie sposób wykonać tej zaległej pracy, jeśli się nie było wyznawczynią (ja byłam), bo trudno na początku trzeciego tysiąclecia zrozumieć tamte fascynacje. W każdym razie podręcznik nie powstał, a ja straciłam szansę zostania monografką mody mojego pokolenia polonistycznego.

Później, sama ucząc, wielokrotnie zastanawiałam się, dlaczego nie mamy w Polsce książek akademickich tak przystępnych i zarazem pożytecznych, jak na przykład *Teoria literatury. Bardzo krótkie wprowadzenie* Jonathana Cullera<sup>3</sup>.

Oczywiście, nie był to główny powód powstania mojego podręcznika *gender studies*. Piszę o archeologii, nie o rezultacie własnej pracy. Teraz wiem, że napisanie „krótkiego wprowadzenia” jest o wiele trudniejsze od „długiego rozwinięcia”. Ja sama dość szybko skapitulowałam i – powiedzmy szczerze – prosty i pełen wdzięku tekst akademicki jeszcze przede mną.

Mimo wszystko w książce, którą właśnie kończę, są ślady studenckiego marzenia i belferskich doświadczeń. Pisałam ją z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, odczytując fragmenty podczas wykładów monograficznych z krytyki feministycznej. Niektóre

---

<sup>3</sup>J. Culler, *Teoria literatury. Bardzo krótkie wprowadzenie*, przeł. M. Basaj, Warszawa 1998.

teksty powstały obok akademickiego planu zajęć, z okazji specjalnych, jak „dzień uczelni” albo zaproszenie na któryś z Szacownych Uniwersytetów. Inne nie miały debiutu przed studentami, zostały dokonponowane przy moim biurku. Dotyczy to, paradoksalnie, wtretów półprywatnych, quasi-biograficznych, których nie robiłam „na żywo”. Decyduję się na ich wprowadzenie, mimo (dlatego) że rozbijają akademicką powagę. Wykłady zaplanowane jako książka tracą wiele ze spontaniczności; trzeba im spontaniczność dobudować. Wykłady *gender studies* nie różnią się od innych: wymagają przerywników. Dlatego wprowadziłam w piśmie więcej takich, których nie było w mowie, rezygnując z tych faktycznie wypowiedzianych, czytelnych tylko w konkretnej, dydaktycznej sytuacji. Feministyczne mówienie (okazuje się w tym znów podobne do nowej dydaktyki uniwersyteckiej) obliguje także do rozbijania gatunków, a więc to, co gdzie indziej pozostałoby na marginesie, ja wprowadzam w tekst główny i jestem w tym działaniu śmielsza, gdy nie mam skonkretyzowanego audytorium.

Idealny według mnie wykład łączy wiedzę z doświadczeniem; literaturę z życiem. Wychodzi poza akademickość i szuka kontaktu ze słuchaczem/czytelnikiem. Pozwala „odetchnąć” między terminologią a nawiązaniem do tego, co zna student, daje mu też orientację w tym, co się aktualnie wydarza, a do czego najczęściej z powodów ekonomicznych (brak środków na zakupy w prywatnych księgarniach i bibliotekach) nie dociera.

Chcę wytłumaczyć się z jednej jeszcze cechy tego tekstu. Pracę akademicką i krytyczną traktuję jako dopełniające się zadania. Staralam się pokazać, jak obie te role współlistnieją, także dlatego, iż dopasowanie literaturoznawczego instrumentarium do zabaw mniej hermetycznych interesuje dziś studenta i każdego, kto szuka wiedzy, unikając sytuacji stawiających go w roli nieśmiałego ucznia. Słuchacz/czytelnik „chce zrozumieć” i potrzebuje rozpoznawalnego kontekstu. To dla niego opuszczam bibliotekę i miejsce przy biurku, zanurzam się w kulturę masową, czytam nowe powieści,

myślę o społeczeństwie; jemu udzielam rad w sprawie kultury i życia. Dydaktyka uniwersytecka musi sprostać wyzwaniom czasu, tym bardziej książka, jeśli ma znaleźć czytelnika. Mówiący profesor przyciąga studenta groźbą niezaliczonego wykładu, niezyskanych punktów. Za książkę trzeba dobrowolnie zapłacić.

# Wykład I: Czego pragniemy – „Gender” wobec „sexu”

## 1. Wypożyczalnia języka

Ten tekst był początkowo wykładem wygłoszonym w ramach Dni Uniwersytetu Szczecińskiego<sup>4</sup>. Organizatorzy zachęcali mnie do wzięcia w nim udziału, mówiąc o decyzji Panów Profesorów, którzy mieli zamiar zaszczylić publiczność bez krawatów, czyli na tak zwanym luzie. Co to może oznaczać dla garderoby początkującej profesorki? Bez czego mogłaby przybyć? I o czym powinna, wobec tej niepewności, mówić?

Zaczynam więc od tej niepewności, od dwuznaczności, bo dyskurs, który będzie bohaterem kolejnych rozdziałów, jest niepewny i zachęca do ciągłego mieszania materii: prywatnego z oficjalnym; teoretycznego z praktycznym; naukowego z konfesyjnym. Nie chcę być jego sprawozdawczynią, chcę go praktykować, więc wracam do ryzykownej dwuznaczności: „gender” wobec „sexu”.

Wówczas, na Dni Uniwersytetu, trzeba mi było uskrzydlać go tematu, o co niełatwo, gdy formułujemy go *ad hoc*, a jeszcze trudniej – gdy zaczynamy myśleć, nicować, dzielić włos na czworo. Oficjalne sformułowanie, zapisane w programie (coś jak feminizm

---

<sup>4</sup> Dni Uniwersytetu Szczecińskiego odbyły się w maju 2002 roku.

a humanistyka<sup>5</sup>), nie brzmi szczególnie atrakcyjnie, chociaż wyraża mniej więcej myśl dla mnie ważną, a dotyczącą usytuowania krytyki feministycznej w systemie i wobec innych nauk humanistycznych, a także w humanistyce pojmowanej szerzej. Hm... Nie brzmi to dobrze, choć mogłoby być pierwszą częścią genderowego podręcznika. Za bardzo przypomina jednak zajęcia z propedeutyki, a to filozofii, a to językoznawstwa, a to psychologii. Usytuowanie w systemie i wykres. Feminizm a psychoanaliza, hermeneutyka, dekonstruktywizm, marksizm. W sukurs mojemu tematycznemu namysłowi przyszła skleroza, na którą – jak przystało profesorce – cierpię mimo stosunkowo młodego wieku (sklerozę należy nosić, nawet jeśli nie posiada się przyzwoitej garsonki). Otóż w mailu do przyjaciółki napisałam, że mam wygłosić wykład o tym, czego chce od humanistyki feminizm albo czego chce od feminizmu humanistyka: nie pamiętałam podanej do programu wersji tematu. Przyjaciółka, oczywiście feministka, odpowiedziała mi krótko i celnie: „Jak to czego? Sexu<sup>6</sup>”.

Tu zapala się lampka Pomysłowego Dobromira – bohatera moich dobranecek, za którym coraz bardziej tęsknię, znudzona dostępnymi wszędzie półfabrykatami konsumpcyjnego szczęścia (on umiał zrobić coś z niczego, jak Adam Słodowy). Oczywiście. „Sexu”. Przyjaciółka, Barbara Limanowska, wie, co mówi, należy do matek-założycielek polskiego ruchu feministycznego, a matek należy słuchać (o czym pouczają feministki). Genialności tej tezy dowieść można, analizując kilka przesłanek.

Po pierwsze, można by więc powiedzieć, że relacja między humanistyką a krytyką feministyczną jest taka, jak relacja między „genderem” a „sexem”, czyli między kulturą a naturą. „Gender” jest bowiem płcią kulturową, a więc niejako nabytą, zsocjalizowaną,

---

<sup>5</sup> W polskim literaturoznawstwie pierwszy projekt udzielenia odpowiedzi na pytanie o te związki to zbiór: *Krytyka feministyczna. Siostra teorii i historii literatury*, red. G. Borkowska, L. Sikorska, Warszawa 2000.

<sup>6</sup> Zachowuję pisownię „sex” (także w odmianie) dla podkreślenia, iż zajmuję się płcią w tym terminologicznym rozróżnieniu, które wprowadza język angielski, a więc *sex-gender*.

performatywnie ustanowioną, skonstruowaną. „Sex” to płeć biologiczna, prawdziwa natura człowieka, substancja, dana z góry rola. Tak przynajmniej dowodzono jeszcze w latach osiemdziesiątych, przed poststrukturalistycznym przewrotem. Chcieć od krytyki feministycznej „sexu”, znaczyłyby więc chcieć dla humanistyki więcej naturalności, cielesności, autentycznego doświadczenia.

Tak też jest, tego humanistyka się spodziewa, gdy przyznaje, że feminizm (ściślej trzeba by mówić – badania nad tożsamością płci) otwiera nas dzisiaj na problematykę człowieka, nieco zapomnianego przez spekulatywne, oderwane od konkretnego społecznego oraz pojedynczego doświadczenia metodologie spokrewnione ze strukturalizmem. Otwiera ją w stronę inną, niż czyniła to hermeneutyka, wyłączająca z kolei doświadczenie społeczne. Ten genderowy „powrót do rzeczy pierwszych” jest w Polsce utrudniony przez syndrom urazu pokomunistycznego. Salony humanistyczne nie byłyby skłonne używać słowa „bolszewicki”, ale też chyba o to idzie, gdy napotykamy opór podszyty aluzją, że oto krytyka genderowa jest takim obcym przeszczepem, wynaturzeniem dyskursu, przeciw któremu opowiadają się, nakierowani na ogólnoludzkie wartości, badacze prawdziwi. Feminizm w nauce miałby być ekscysem, ale ekscy ten bywa doceniany z pozycji głównego nurtu nauki jako oświecający z bliska kondycję współczesnego człowieka, badający nierówność, tropiący niesprawiedliwość i jej głębokie, czasem niedostrzegalne okiem nieuzbrojonym w narzędzia genderowe, uwarunkowania. Feminizmy – bo przecież jest to wiele nurtów różnie widzących swe zadania – nie odwracają się od pytań fundamentalnych i biorą z dostępnych teorii to, co pozwala zrozumieć praktyki społeczne, a w konsekwencji – nasze życie.

Feminizm także – przypomnijmy sobie wypowiedzi polityków i publicystów (w dalszej części będę dawać przykłady takiego „useksualnionego” dyskursu) – jest „dziewczynką do bicia”, obiektem kpiny, źródłem podniecenia. Feministyczne badaczki bywają pomawiane o stronniczość, która ma źródło w jakiejś zwykle sugerowanej „niepełności” ich kobiecej roli. Pisarki są oceniane za *image*, nie za

tekst. Mówiąc o płci kulturowej, można się spodziewać odpowiedzi dotyczącej płci skonkretyzowanej jako taka, której podstawą jest biologia, wpływająca na wartościowanie uczestników sceny publicznej. Kobietom „nie przystoi”, chociaż uzyskały prawa postulowane przez emancypantki i społeczeństwo obywatelskie. Feministkom „przystoi”, bo nie są prawdziwymi kobietami. Takie „zwroty akcji” umożliwia dość rozpowszechnione podejście socjobiologiczne.

Chcemy od „genderu”-„sexu”, chociaż bywa, że jeden odżegnuje się od drugiego, gdy mówi: płeć to kultura. Mamy jednak nadzieję, analizując kulturę, dowiedzieć się czegoś także o naturze, nawet jeśli nie umiemy jej wyobrazić sobie bez cudzysłowu. Pytamy o „naturę” człowieka.

Filozofia genderowa skomplikowała się w latach dziewięćdziesiątych i nie wierzy już w sterylną rozdzielność tego, co biologiczne, i tego, co kulturowe. „Gender” i „sex” znajdują się w odwiecznym uścisku, w kłinczu. Nie odcedzimy kultury od natury. W dodatku, sądzę, nie odcedzimy też humanistyki ogólnej od feminizmu i odwrotnie. Chcą czy nie chcą, oba te zbiory są od siebie uzależnione. Tak więc Kristeva pewnie знаła Girarda; Butler czytała Derridę, Sedgwick Barthes’a, a wszyscy Foucaulta<sup>7</sup>. I odwrotnie, bo żaden otwarty na współczesność humanista nie może udawać, że nie widział biblioteki narastającej wokół problematyki płci, kultur, tożsamości. Także w Polsce obserwujemy powolne wchłanianie (co czasem oznacza neutralizowanie) przez nurt główny pomysłów feminizmu, czego przykładem w skali pop mogłaby być polityka „Wysokich Obcasów”, ale także spisy treści pokonferencyjnych tomów. Incydenty takie jak recenzje genderowych książek – we „Frondzie” lub innych czasopismach – pisane przez autorów wyraźnie niezyczliwych i odpornych na wiedzę znajdują się poza poważnym obiegiem naukowego myślenia, stanowiącego zresztą

---

<sup>7</sup> Ostatnia lektura: rozdział w książce Rosi Braidotti zatytułowany *Zigzagging through Deleuze and Feminism*, w: *Metamorphoses. Towards a materialist theory of becoming*, Cambridge 2002, s. 65–117 – na potwierdzenie jeszcze jednej zbieżności lektur i teorii.

rodzaj bezpieczniejszej enklawy. Bezpieczniejszej niż polityka, dyskusja społeczna, środowisko życia większości przeciętnych ludzi. W nauce więcej można i mniej wypada – co tylko pozornie się wyklucza. Interdyscyplinarne, pragmatyczne podejście wymaga uwzględniania także wspomnianych artykułów we „Frondzie” oraz innych marginesów życia intelektualnego, publicystyki, stereotypów kierujących zbiorową wyobraźnią i indywidualnymi wyborami. Gdziekolwiek, dla niektórych feminizm jest grzechem śmiertelnym. Odrzucam tę skrajną postawę.

Humanistyka chce od rzeczowej krytyki „sexu” także w tym sensie, że najciekawszym może obszarem badawczym, również polonistyki lat ostatnich, jest ciało, cielesność, która przychodzi do nas za sprawą badań nad tożsamością seksualną. Nie idzie tylko o tożsamość tak zwanych mniejszości ani wyłącznie o doświadczanie siebie w erotyce, ale też o starzenie się i śmierć; chorobę i cierpienie, które zyskują nowy wymiar, przemyślane w kontekście poszerzonej o aspekt seksualny kondycji człowieka. Krytyka genderowa pozwala nam wyjść poza estetyzujący te doświadczenia dyskurs „humanistyki środka”, w którym dominuje dziś podejście kulturalistyczne, retoryczne, narratologiczne<sup>8</sup>. Mniej mówi się o substancji, naturze, intencji, natchnieniu, indywidualizmie podmiotu – więcej o społeczności, władzy, polityce. O tym też pamięta feminizm, zarazem dramatycznie zestawiając perspektywę indywidualną i zbiorową. Politykę i erotykę. Sterylnie odpostaciowany dyskurs i życie osoby. Pokazując kulturowe montaż cielesności i zwracając naszą uwagę na konieczność wyzwolenia się spod władzy niektórych stereotypów, *gender studies* ratują przywalonego nimi człowieka i pomagają odzyskiwać terytoria, sektory, segmenty wyparte lub nigdy nienazwane.

Ale humanizm chce od feminizmu... nie będę już powtarzać czego, bo w ogóle publiczny dyskurs jest grą władzy, która jest grą

---

<sup>8</sup> Przykładem tomy: *Codziennność, przedmiotowość, cielesność. Języki nowej wrażliwości w literaturze polskiej XX wieku*, red. H. Gosk, Warszawa 2002; *Ciało, płęć, literatura*, red. M. Hornung, M. Jędrzejczak, T. Korsak, Warszawa 2001.

fetyszystyczną, targiem atrakcyjności. Idzie, oczywiście, o władzę dyskursu, czasem o przemoc dyskursu, a więc o substytut władzy i przemocy „prawdziwej”. W końcu władamy indeksami, wydajemy ekspertyzy, mówimy, mówimy, mówimy... Wszystko to w celu uwodzenia, co zauważył Freud, a co bywa punktem spornym dzisiaj, bo o ile możemy na tę oczywistość przystać, jeśli jesteśmy jej sprawczyniami (sprawcami), o tyle trudno się pogodzić z sytuacją narzucania nam seksistowskiej perspektywy. Mam wrażenie, że ta perspektywa często zwycięża – humanistyka chce od feminizmu atrakcyjnych krytyczek, pisarek, malarek, które stają się obiektami podwójnie pożądanymi, albowiem tkwią wewnątrz dyskursu płciowego (używają słów, mówią seksem), mając zarazem świadomość podmiotową, wyprowadzającą je z pola uprzedmiotowienia. Stają się przez to, paradoksalnie, atrakcyjniejsze. Feminizm humanistykę też czasem uwodzi, zwykle jednak domaga się raczej partnerstwa niż poddaństwa (choć bywają wyjątki, których zresztą nie mam zamiaru oceniać negatywnie). Feminizmem można uwieść równie skutecznie jak hermeneutyką. Trzeba jednak wiedzieć, że za feminizm można być ocenioną *ad personam*, dosłownie, dotkliwiej, niż spotkać to by mogło najbardziej nawet żarliwą wyznawczynię szkoły Romana Ingardena.

Nurt główny chce od nowych, spokrewnionych z feminizmem metodologii także pojęć na własny użytek, do wykorzystywania. I to jest punkt newralgiczny, miejsce, nad którym warto się zastanowić. Czy to właśnie powinna dać humanistyce krytyka genderowa, czy warto wydzierżawić i spopularyzować energetyczny język „po-graniczy wrażliwości”? Czy akces do mowy ogólnohumanistycznej nie odbiera mu siły? Cieszy mnie, gdy spotykam znajome pojęcia, nie wiem jednak, czy są jeszcze moje i czy cokolwiek znaczą.